Cena 60 groszy Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DZIESIĘCIODNIOWIEC

ROK 6 WARSZAWA—1933— 10 LIPCA NUMER 24

REDAGUJE KOMITET

Rodzina na przełomie

Z pośród instytucyj odwiecznych, tak, zdawałoby się, trwałych jak ludzkość, wiek nasz postawił na zrębie przepaści rodzinę. Najmniejsza po jednostce komórka, społeczeństwo i n n u c e (w pestce, w jądrze, w zawiązku), tkwiła u korzenia ustroju wszystkich ras i epok, a jeśli czasem jakiś myśliciel, z boskim Platonem na chronologicznem czele, podważał—w teorji — jej nietykalne życiowo baszty, to dziś przypuścił do niej szturm sam czas, sama konieczność rozwoju. Sytuacja dla „odwiecznej" i „powiecznej" jest naprawdę groźna. Czy wytrwa, jeśli atakuje ją bezapelacyjnie samo życie?

Niebezpieczeństwo jest wyraźne, jak burzowa chmura, dlatego z jednej strony krzyk na trwogę tych, którzy po zapadnięciu się rodziny przewidują w wyniku dalsze rumowiska— konserwartystów, nauczonych w rodzinie widzieć niemurszejącą ostoję drogich sobie wartości moralnych, z drugiej poważne rozstrząsania i próby uzgodnienia pulsu zagrożonej komórki z wołaniami nowych czasów, zastrzyknięcia jej zdolności do nowych warunków; wreszcie, na skrajnie lewym posterunku, zapatrywanie się na nią jak na trupa i przedkatastrofowa jeszcze wyprowadzka w inne okolice. Co i dlaczego właśnie dzisiaj podrywa spoistość, pochyla grunt pod rodziną? To, co w innych czasach stanowiło jej siłę, czyniło ją miniaturowem społeczeństwem: jej zróżnicowanie, ciążąca nad nią tradycja

wczorajszej samowystarczalności. Epoka nasza bowiem nakazała wyłączne wiązanie się elementom jednorodnym, cała ludzkość ustawia się wielkiemi i coraz większemi kolumnami jednogatunkowemi i one to są jednostki bojowe cywilizacji: związki wszelkie, zawodowe, partyjne, kulturalne, przeskakujące coraz gęstszą siecią organizacyjną granice polityczne, dalej związki państw czy grup państw, związki ras i t. p. Zetknięcie się różnorodności nie odbywa się już dzisiaj na błahych froncikach krótkowymiarowych, ale na ogromnych frontach mas. Froncik rodzinny jest za krótki, „drobnodziałka" za krucha, aby mogła wytrzymać napór wielkich uderzeń jednolitych brył. To też coraz wyraźniej się wygina. Esencja z niej uleciała.

Adwokaci wczorajszości, nieprzyjaciele własnej epoki, nie dostrzegając tej sprężyny, tłomaczą, że jest to poprostu najazd zdemoralizowanego społeczeństwa na czcigodną warownię cnót. Pogląd ich może mieć to łudzące optycznie potwierdzenie, że pozornie, przeciw rodzinie zaczęły się buntować, jedno czy dwa pokolenia temu wstecz, j e d n o s t k i, że p i e r w s z e u s i ł o w a ł y r o z s a d z i ć j e j r a m y k o b i e t y, którym w klatkach domowych było ciasno. To racja. Ale kobiety, rwące się do zewnętrznych, poza rodzinnych szeregów pracy, to były niejako „kamienie rzucane na szaniec" przez ową głębszą konieczność dziejową, przez prawo, że indywidualizm wpada w jedną tonację z uniwersalizmem, a rozłamuje tylko formy pośrednie. Szturm od wewnątrz przez „wyrodne córki", i szturm od zewnątrz przez nowe warunki gospodarcze były naprawdę jednem i tem samem.

Póki księga ekonomiczna narodów składała się z rozdziałek rodzinnych, rodzina, jak wspomniałam, czerpała siłę ze swojego charakteru syntezy; zasadniczym dla ludzkości, bo zasadniczym dla niej, był podział płci i przesklepienie go kulturą wyhodowanych na nim wartości. Na podziale fizycznym oparł się podział gospodarczy, podział ról, a podział ról przez wieki i wieki modelował podział charakterów. Brutalne dwucięcie zatarło się dla wzroku pod cennym, coraz wyżej osadzającym się nalotem, obrosło całą florą moralną i duchową i w tym to swoim aparacie uświęciło powagę i doniosłość rodziny. Różnica i scałkowanie płci mogły i musiały stać się miernikiem i budulcem społeczeństw.

Jednak cios przyszedł, a przyjście było nieuchronne.

Godziła się z rodziną obejmująca ją zbiorowość rodowa, kastowa, towarzyska, narodowa, jako zestawienie czy nadrzędność jednorodnych z nią kompleksów; godziła się nawet przez długi czas jednorodność zawodowa, dopóki nie weszła w znak władzy społecznej, a zwłaszcza dopóki w zbiorowości uczestniczyła tylko jedna strona: męska, żeńska zaś nie liczyła się, nie była składnikiem żadnej większej grupy, poza właśnie swoją, biorącą ją w bezwzględne posiadanie, g r u p ą d o-

mową. Rodzina stała na „organizacyjnej żadności“ kobiety.

Dziś—naciskam raz jeszcze—okazało się, że moment płci jest za wątły jako podstawa konstrukcyjna w zderzeniu z konstrukcjami o sile rozpędowej gospodarczej. Rodzina jako jednostka gospodarczo-wytwórcza należy do historji. Maruderczo trzyma się jeszcze na wsi, w pewnej już tylko wszelako mierze, a i tam jest w wigilję przebudowy. Maszyny docierają na najgłuchszą prowincję, a gdzie zawarczy maszyna, tam rodzina, przedmaszynowy producent, musi gospodarczo zawiędnąć. Za tem poszło, że przestała istnieć i jako duchowo-wytwórcza. Trzyma się jeszcze jedynie jako jednostka spożywcza, jako komórka odbiorcza ciała społecznego. Igła magnesowa dokonała obrotu na 180 stopni.

Dzisiaj zresztą już nietylko mąż, nietylko żona, ale i dzieci wsiąkły w organizacje pozadomowe, a wchodzą w nie coraz wcześniej, zdumiewająco wcześnie. To szkoły, sporty, kółka koleżeńskie czy samokształceniowe, a nawet przedszkola. Tam to — nie w domu — już najmłodsi są twórczy indywidualnie, tam leży początek ich społecznego czynu, mierzenie sił, terminowanie obywatelskie, bo tam gra cała osobowość, dźwięczą wszystkie struny, gdy tymczasem w domu wszechstronność odrazu ustawiona jest w nachyleniu, wciśnięta w pozycję szczegółową, matki, syna, córki, czy tp., podtrzymującą zbudowany na zróżnicowaniu ustrój. Drugi raz nawija się przykład, że indywidualność nie wykwita z różności, lecz tożsamości warunków, jakie daje koleżeństwo, spółpraca, i na tem tle dopiero rodzi się współzawodnictwo osobników równo postawionych. Jak całe społeczeństwo dąży do roztrącenia szranek, ograniczeń i ról, indywidualizujących grupowo (kasty, rody i t. p.) czyli pętających jednostkowo, t. j. w wolnym rozroście indywidualności osobniczych, tak na małą skalę, w rodzinie indywidualność walczy przeciw przesądzonemu nachyleniu wyłączności jednej domowej roli, zwłaszcza. jeżeli poza domem zaznała swobody rozwoju całej swojej treści.

Dawniej, kiedy dzieci były tylko biernym materjałem pedagogicznym czy nauczanym, szkoła nie rywalizowała tak dalece z rodziną, z której też odbywał się zasadniczo wylot duszy w życie. Dziś znaczna część odpowiedzialności za jakość psychiczną dziecka przypada państwu, i państwo coraz zdecydowaniej wchodzi w rolę niejako wtórnego ojcostwa czy macierzyństwa wobec rosnących pokoleń. A chyba jasne jest, że powstanie czynnych społeczeństw szkolnych przypomina uderzanie równoważnej conajmniej fali w wyłączność granitu rodzinnego.

Przerzucenie się czynności zawodowej, intelektualnej czy społecznej wszystkich członków rodziny poza dom, wyjałowienie go produkcyjne, postawienie fizyczne na odcinku spożywczym, duchowo czyni zeń niejako rodzaj antraktu, poczekalni międzyzajęciowej, miejsca wymiany treści, której główny ciężar wyszedł poza ramy kilkoosobowego splotu. Jaki jest tego pośredni wynik? Zaczyna z pod obsłon przezierać nagi szkielet, racja bytu małej organizacji: ciągłość ludzkości, stosunek płci przy akompanjamencie uczucia międzypokoleniowego. Szkielet ten pokazuje się dziś jak skała nad opadniętą wodą, która odpłynęła na inne dna. Rodzina tem samem usuwa się w społeczeństwie do kwestyj bocznych. Spięta od tysiącoleci klamra spraw gospodarczych i płciowych otworzyła się. Żywioł — ludzkość zaczyna tworzyć kryształy według nowego systemu.

A teraz inny odłam ważny. W naszych oczach fragment miłosnego spółżycia płci złączonych ze sobą — bo to tylko może mieć wartość — spólnotą pracy i ideałów, czy choćby samą tylko wypróbowaną sympatją, wyodrębnia się od tworzenia rodziny, to znaczy od obowiązku wydania z siebie pokolenia zstępnego i dostosowania własnego życia do tego obowiązku.

Dotychczas oba punkty uchodziły za jedno, ponieważ rodzina była organizacją samowystarczalną, wielotreściową, niejako sprzętem kilkoszufladowym. Gdy walna część jej treści duchowej oderwała się głównego trzonu i pozczepiała z innemi całościami, to co pozostało, co, jak określiłam, obnażyło się, szuka także pewnych ideowych odgałęzień. Nadzwyczaj trudno wyrokować o dalszym biegu procesów, które się dopiero wykluwają i podnoszą swój zwalczamy przez zaskoczone społeczeństwo, pierwszy bojowy głos. Sądzę jednak, że niezwykle zastanawiające, symptomatyczne i zwrotne dla jutrzejszej cywilizacji jest uprawnione w naszych dniach regulowanie macierzyństwa, które musi stać się w przyszłości podwaliną w tej dziedzinie stosunków, o ile ludzkość ma być naprawdę ludzkością.

Objawem tej samej nowej świadomości, lecz objawem wyraźnie wstecznym, jest faszystowskie forsowanie, przymus macierzyństwa, podatki na bezżennych, czyli uchylających się od ojcostwa, jednem słowem generalna próba zmumifikowania zjawiska, któremu historja sposobi nowe życie. Zaznaczę nawiasem, że metoda faszystowska jest sama w sobie pęknięta logicznie. Będąc w najostrzejszej, jaką spotykaliśmy dotąd postaci etatyzmem, zgarniając organizacyjnie młodzież od najpierwszych lat, już nietylko obywatelsko. ale policyjnie poprostu, uważając się za nieuwarunkowanego niczem dy-

sponenta narodem, państwo faszystowskie musi działać niwecząco na bogactwo motywów rodzinnych*). Jeżeli więc Włochy kładą dziś hasłowo na jedną szalę państwo, na drugą rodzinę jako dwa głównocenne ośrodki organizacyjne, to w myśl dotychczasowych naszych rozważań, — nie mamy co owijać w bawełnę — rodzina w stosunku do państwa jest tylko zarejestrowaną, uświadomioną i odpowiedzialną instytucją rozrodczą, entuzjastyczną dostarczycielką rezultatów swojej państwowo ostemplowanej misji wielkiemu i żarłocznemu polipowi państwowości.

Nie takie wszakże wyspecjalizowanie się rodziny może być ideałem potomnych pokoleń. Nie masowość rozmnożeń i nie molochowość w stosunku do nich państwa, — a pamiętajmy, że taki moloch państwa zawsze w zanadrzu nosi aspiracje wojenne — nie to jest zgodnem z ceną) człowieka rozwiązaniem sprawy. Przeciwnie, na podnoszenie się na postęp wpływa z jednej strony wybór, jakość, z drugiej ochrona. Przyszła ludzkość nie może stać masą, ale doborowością swoją, nie gęstością szeregów idących pod armaty, ale największem, na jakie zdobyć się możemy, zapewnieniem warunków szczęścia i wszechstronnego rozwoju. Najmocniejszym argumentem na korzyść jakości przeciw liczbie, wykazaniem, że nie ten naród jest przodujący cywilizacyjnie, który największą ma armję, niech będzie przypomnienie, że maleńka Grecja, któraby z całą swoją ludnością nie wypełniła nawet jednej ze stolic - olbrzymów obecnego świata, była przez dwa i pół tysiąca lecia mistrzynią i ideałem piękna dla ziemi, pierwszym wytryskiem myśli filozoficznych, po dziś dzień nierozwiązanych, żywym dotąd punktem wyjścia dla wielu dziedzin nauki i pracy. Tymczasem Rosja, zawalająca czarnem cielskiem połacie dwu kontynentów, z całem swojem mrowiem zbrojnem wniosła do cywilizacji przyczynek bynajmniej nie ustosunkowany do swego obszaru i potęgi.

Na tle powyższych rozważań macierzyństwo i ojcostwo zacieśniają się, zapewne, ale zato podnoszą znamienicie. Umyślnie mówię i o ojcostwie, macierzyństwo bowiem to tylko połowa zjawiska i całe jej sublimowanie nie wyjdzie poza połowiczność, jeżeli druga część będzie puszczona na flukty niewyrobionych sumień. Objawem charakterystycznym zwężenia, które pociąga za sobą podniesienie, jest i w tej dziedzinie, zgodnie z wytyczną epoki, specjalizacja, sposobienie się. Dawniej, gdy powołaniem każdej kobiety było być matką

*) Pod tym względem bez porównania konsekwetniejsze są Sowiety. Zagarniając całego człowieka dla państwa, tem samem świadomie od jednego zamachu podcinają rodzinę.

i tylko matką, gdy ta wyłączna misja często, jak nieszczęście, łamała umysłowości, talenty, pożyteczność społeczną i obywatelskość, macierzyństwo było łatwe, jak szalenie łatwe! Wystarczały dwa fakty: najpierw trzeba się było urodzić, a następnie dojść do pewnej liczby lat. Tak rozumiano obowiązki wobec ludzkości, czyli naprawdę nie miano nawet najlżejszejszego ich przeczucia. Dziś, gdy „służba macierzyńska" przestała poniekąd być powszechnie obowiązującą, zaszedł objaw dawniej nie do pomyślenia: przygotowanie się do tej roli, poczucie odpowiedzialności, wyrażone m. in. aż nadto realnie np. w „kursach dla przyszłych matek". To są właśnie pierwsze jaskółki przewrotu, poczucie zmienionego i wyszlachetnionego uobywatelonego stosunku, Czy i ojcostwo już się zaczątkowo uszlachetnia? A jakże, czem że bowiem jest eugenika, jeżeli nie tym samym objawem dodatnim dla obu spółczynników, pochodem ku przyszłemu, zdrowszemu wyglądowi zagadnienia *).

Zatem wymówienie posłuszeństwa nagiemu prawu przyrody, walka z dyletantyzmem i profilaktyka, dalekosiężna w swoich skutkach, tak dla strony fizycznej jak dla duchowej, oto zupełnie pomyślne zapowiedzi u startu. Tylko zdala od okolic wydeptanych wszystkiemi nogami i wszystkiemi niskiemi namiętnościami będzie kiedyś człowiek miał prawo powoływać do życia i kierować w życie człowieka. Czy ta rama, ta kołyska ideowa będzie się nazywała rodziną, czy będzie sprzęgiem dośmiertnym i wyłącznym, czy ogniwem w jakiejś szerszej nieistniejącej dotąd organizacji „rajów dziecięctwa", jakiemś urządzeniem, godnem początku, jakiem jest wejście nowego jestestwa w byt, — raz jeszcze zastrzegam się—nie przesądzam, bo nie chcę i nie potrafię. Uparci w przywiązaniu do form istniejących, spomnijmy, ile już historja wykazała nam przemieszczeń kapitałów ideowych i ekonomicznych. Pszczoły z typu raz pobudowanych uli nie wyszły i nie wyjdą, ludzkość, przeciwnie, zmienia kształt swoich komórek. Oto komórka —rodzina staje się nieodpowiednia dla magazynowania potrzeb spółczesnego życia, czy składania miodu-idei, wypadnie więc ściany ula lepić odtąd inaczej. Wielka armja pracownicza, jaką coraz bardziej staje się nowoczesne społeczeństwo, sama natrafi na formy, w których będzie się mogła ułożyć gospodarczo wydatniej i ideowo najbardziej pomyślnie. Nieodwracalny bieg dni stanie się dla niej najpoważniejszym kształtodawcą.

Jedno tylko wiedzieć możemy zgóry: to nie będzie folga instynktom niższym, które człowiek, idący ku jutru, ścichłe w sobie ułoży. To będzie, przeciwnie, przyrost czujności sumienia i ono właśnie nie pozwoli stopić ze sobą bez kontroli

*) Tu odbiegamy wyraźnie od postawienia sprawy przez bolszewizm, który jedną stronę życia, zamiast uszlachetniać, sprowadza do rzeczy nazbyt prostych jak na ludzkość.

dwu dziedzin życia z jednakowym dla obu uszczerbkiem. Nie dopuści, aby obowiązki pracy spychały na plan podrzędny sferę, której rezultatem i osią trosk jest nie przedmiot fizyczny, lecz żywa istota, jak, z drugiej strony, nie pozwoli istocie żywej być zawadą i uszczupleniem energji, wyładowującej się na szerszych arenach.

Tak już dziać się będzie nietyle pod pałeczką wymogów gospodarczych, ile pod przymusem wyrosłej z nowego układu gospodarczego etyki. Etyka dni naszych, z której wysoce jesteśmy dumni, jest konglomeratem przepisów i uświęceń wszelakiego pochodzenia, rasy i wieku. Wyobrażamy ją sobie, a może, jeśli mniej wytrawne mamy oko wewnętrzne, widzimy ją jako jedną. A ona tylko rozbieżne style swoich budowli pokrywa obszernym dachem kompromisu.

W miarę jak się rozszerza krąg życia cywilizacyjnego przybywają różne dziedziny obowiązków, tak jak ciągle wyrastają nowe, wpierw nieznane, dziedziny prawa. Niedawną lub zupełnie świeżą datę noszą: prawo międzynarodowe, prawo morskie, prawo powietrzne, prawo autorskie, i t. p., bo to wszystko są świeżo podbite prowincje kultury. Etyka — tak samo rosnąc i zagarniając nowe przestrzenie—nie wyrzucała jednak z inwentarza obyczajowego norm z kół ciaśniejszych i już przerośniętych, dlatego raz po raz popadała w antagonizmy. Obok siebie stoją i obowiązują etyki, będące obliczem dwu różnych epok i wzrostów umysłowych ludzkości. Niedawno mieliśmy przed oczyma najjaskrawszy przykład, kiedy twarzą w twarz spotkała się etyka wojenna z pokojową. Tak samo przeżyliśmy okres, w którym inne przepisy stawiała nam miłość ujarzmionego kraju, inne wyznawane teoretycznie zasady moralne. Każda religja ma swój kodeks moralny, zastosowany do kręgu własnego wyznania, gdy tymczasem poza obrębami ich wszystkich leży jedna etyka ogólnoludzka i t. d., i t. d.

Organizacja rodzinna, nietylko że posiada pewną swoją sieżność etyczną, która może stanąć w konflikcie z obowiązkami z innego źródła, zawodowemi, koleżeńskiemi, narodowemi, ale, co w tej chwili ważniejsze, sama stanowi mocny rozdział etyczno-prawny, przyczem wszystko, co się w nim nie mieści, nazywa się etycznie ujemnem i stoi — poza prawem. A jednak istnienie tej drugiej strony, bezładu spółżycia i dawania życia, to nie żaden specjalny objaw, to jedno i to samo zjawisko, druga strona tej samej karty, cień na przeciwnej ścianie oświetlonego przedmiotu. Jeżeli tylko narysujemy linję, natychmiast powstają dwie części powierzchni, prawy i lewy brzeg granicy. Każdy fakt, oznaczony plusem po stronie rodzinnej, ma swój odpowiednik fakt-minus po stronie chaosu. Póki mamy rodzinny medalik z jedną stroną poświęcaną, po drugiej stronie musi stać hańba matki i klątwa dziecka. Ale skoro zmodyfikujemy pojęcie ślubności, skoro spadnie przymus dożywotności, podniesie się ze swojej gatunkowej bezwagi czasowość,

tak jak dzisiaj prawie do niewidzialności zatarło się rozróżnienie słusznego kastowo doboru i mezaljansu. Inne postawienie wynurzy się z poza sfery tych dwuobliczowych medali. Jeżeli rodzina wyrosła na usankcjonowaniu faktu płciowego, to nowa etyka powinna w odróżnieniu wyrosnąć na usankcjonowaniu człowieka. Nie człowiek ma być, jak dzieje się dzisiaj, uznany lub odtrącony, bo wyszedł z poświęcanego czy z niepoświęconego początku, ale naodwrót, człowiek swojem istnieniem nadaje uświęcenie własnemu początkowi. Kto wie, czy nie w tej, aż zanadto prostej, a dzień w dzień obrażanej prawdzie, że jedyną rzeczą realną jest istota żywa i dopiero wtórnie, z niej czy na niej, wyrastają konstrukcje społeczno-życiowe, teorje i fikcje, znajduje się brama do jutrzejszego układu dziejów. I oto znowu natrętnie zadźwięczał akord: indywidualizm-wszechludzkość, znowu oglądamy padanie kształtów pośrednich na łącznicy tych dwu zwycięskich stanowisk. Pod poświęcany klosz dzisiejszego prawa cała ludzkość się nie wtłoczy, o tem mowy niema, jak nie stanie się, dajmy na to, aby cała ludzkość była dobrze zbudowana, piękna, pełna uzdolnień. Dotychczasowa hipokryzja, a także dobroczynność, pobłażliwość serca, naprzeciwko zaś nich odtrącenie społeczne lub religijna groźba kary pośmiertnej, okazały się bezsilne. Wyjście z labiryntu otwiera się jedynie nad przepaścią, u której obecnie dzieje postawiły rodzinę. Bo— tak samo —cała ludzkość w przepaść się nie stoczy, obawy niema. Już gdzieś poza granicami naszego wzroku, sama konieczność zaczyna budować most. Ufajmy, że znajdziemy się jutro —lepsi i wszyscy równi —po tamtej stronie.

Streszczczam się. Nie bronię rodziny, ani nie występuję przeciw rodzinie. Stwierdzam tylko to, na co patrzę. A to, na co patrzę, jest nieunikniONE. Po wyłuskaniu z niej jądra gospodarczego, po zubożeniu co do innej treści, rodzina na swoim fizjologicznym szkielecie staje się coraz wyłączniej sklejeniem uczuciowem, jak sklejeniem uczuciowem czy kulturalnem staje się, tak samo na wyłomie przez historję postawione pojęcie narodu wobec prądów szerszych, a napewno w przyszłości na szczęście dla człowieczeństwa zwycięskich. Niechże będzie, jeśli potrafi, poezją, jak wogóle poezją bywa dzisiaj to, co wczoraj było konsystencją fizyczną. Zbłękitniawszy, zbeskostniawszy, może jeszcze być różową i ciepłą mgłą dla serc, póki nowy tryumfalny kształt nie wessie w siebie jej uczuciowego piękna.

Nie walczmy tedy o nią, bo to daremne, ani z nią, bo niema czemu, zostawmy ją losowi oceniając jej dotyczasową cywilizacyjną doniosłość, ilekroć umiała wyjść ponad partykularyzm i ego-

izm kruszyny, jej pierwszorzędną przez tysiącowiecza graną i już prawie odegraną rolę. W dniach przesileń, jak dzisiejszy, ponad rozterką beznadziejnej obrony i niepotrzebnych zamachów, w tej, jak w każdej innej dziedzinie spiżowemi literami pisze się prawo: *Świat pójdzie swoją drogą.*

Julja Wieleżyńska

Prezes gminy żydowskiej p. Mazur i rabin Posner

czyli niedźwiedzia usługa okazana ruchowi esperanckiemu w Polsce przez bojujący kościół Idysz — Sjonu. (Dodatek do artykułu z d. 1.7. 33.)

Byłoby niesprawiedliwością pominięcie milczeniem niedźwiedziej przysługi okazanej przez nazwanych w tytule dostojników żydowskich ruchowi esperanckiemu w Polsce t. j. krzyczący ich nietakt, podchwycony skwapliwie przez pisma endeckie. Albowiem nadał on pozory słuszności napaściom na rzekomo nie polski i nie-esperancki, ale „wybitnie żydowski" charakter VI wszechpolskiego zjazdu esperantystów w Warszawie.

Zastrzegam zgóry, że o ile Żydzi wzięli istotnie liczniejszy udział w tym zjeździe — (nikt jednak nie rachował esperantystów podług meldunków wyznaniowych) — lub o ile naogół okazują żywsze tętno w pracy esperanckiej, to przemawia to jeno na korzyść ich ideowości i zdolności zainteresowania się ruchem o wielkich perspektywach przyszłościowych. Czy chce się uznać, czy przemilczeć ten fakt, Żydzi dzięki swej ruchliwości stanowią nerwy w naszym przyciężkim organizmie społecznym, a bodaj są nerwami całego świata. Niedarmo określono ich, jako „drożdże, podsycające wzrost aryjskiego ciasta". Z drugiej strony, o ile rdzenni Polacy nie nadążają liczebnie za Żydami w tym pochodzie, winne są temu straszaki antysemickie, rozstawione wszędzie na czatach „Myśli narodowej" przeciw zgrozie „żydowskiego wynalazku"*).

Nie upatruję też dyshonoru dla siebie w tem, iż podług „Myśli narodowej" przemawiałem na zjeździe „w imieniu Żydów". Jest to tylko głupie łgarstwo. Jako „meches", nie otrzymałbym nigdy upoważnienia do przemawiania od Żydów, śród których są fanatycy wcale niemniejsi od fanatyków szowinizmu polskiego i klerykalizmu katolickiego w gatunku p. Zygmunta Wasilewskiego. Tak na cmentarzu, jak w Radzie miejskiej,

*) Sięgnięto swego czasu po lek, zapowiedziany szumnie przez pisma: „zorganizowanie miłośników łaciny" ku ożywieniu martwego języka dla celów międzynarodowych, wzorem średniowiecza. Odbyło się... jedno posiedzenie, które wybrało komitet, nie dający od chwili powstania w ciągu lat paru znaku życia!... Płód martwy!

przemawiałem poprostu w imieniu esperantystów polskich bez różnicy wyznania.

CO TO JEST ŻARGON. ŻARGON A ESPERANTO

Jeszcze jedno zastrzeżenie wstępne. Celem tego artykułu nie jest wystąpienie przeciw gwarze żydowsko-niemieckiej, popularnie zwanej „żargonem“, lub „idyszem“, gdyż poruszona w nim sprawa specjalna rozstrzyga się niezależnie od zasadniczego stosunku do „żydowskiego języka“, czy ten wypadnie dodatnio, czy ujemnie. Jest to sprawa etyki społecznej.

Wszelako chcę skorzystać ze sposobności, aby wyświetlić nieporozumienie, tkwiące w niesłusznem nadawaniu przez prasę endecką językowi esperanckiemu miana „żargonu“. Tę etykietkę przyczepiają do Esperanta złośliwie z tego względu, iż język ten wiąże elementy językowe romańskie i germańskie. Nie baczy się przytem na to, że wszakże elementy te pochodzą z jednego wspólnego pnia aryjskiego — z sanskrytu. Nie chce się widzieć, iż genjusz Zamenhofa sharmonizował je wybornie w jednej tonacji romańskiej (np. „tago“—dzień od niem. „Tag“ brzmi całkiem z romańska). Ale nadto popełnia się błąd zasadniczy.

Cechą żargonu jest wszakże dwoista nieprawidłowość gramatyki: polega ona na tem, że do źródłosłowu jednego języka dodaje się barbarzyńsko końcówki gramatyczne z innego. Ta dowolność, czy gwałt nad metodą myślenia językowego narodów, które w biegu dziejów wyrobiły sobie odrębne typy gramatyk i swoiste wyrazy pojęć —odróżnia żargon od języka, jako typu wyższego, samorodnego.

Dlatego, nie bacząc na wszelkie sprzeciwy idyszystów, na spieranie się nieuków, oraz na wszelkie próby ugramatycznienia i wyczyszczenia podług wzoru niemczyzny, język żydowski do dziś jeszcze nosi wyraźne cechy żargonowości. Nie jest on wcale czystym djalektem niemieckim. Albowiem pokutują w nim takie dziwolągi źródłosłowów słowiańskich z końcówkami gramatyki niemieckiej, jak np. „fun unzer Ojcer“ (od naszych ojców) **); ostają się w mowie potocznej wyrażenia w rodzaju: „der stryż pilnewet“, „szorewen dy podłoge“, „er hot gezgodzizet a sarwer uf die chasene“ (ugodził służącego na wesele. ***) Czyli: stara francuzczyzna, niemczyzna, polszczyzna, ku wschodowi ruszczyzna, pomieszane tu są jak groch z kapustą—rażąc obcością końcówek względem źródłosłowów nawet nawykłego do kaprysów językowych filologa. Zwłaszcza rzecz ma się tak w mowie mas chasydzkich, które nie nabrały jeszcze ogłady stylu niemieckiego ze wzorów literackiego języka Asza, Opatoszu i innych.

**) Por. w wielu numerach „Opinji“ nagłówek cytat z Talmudu.

***) Wyrażenie oryginalne, przytoczone w encyklopedji Orgelbranda. (Tom. XVI str. 239).

Gdyby natomiast za podstawę określenia: „żargon“ uznać pomieszanie rozmaitych składników językowo-słownych, to przy takiem kryterjum żaden język narodowy nie wyszedłby zwycięsko z opresji. Angielszczyzna byłaby ohydnym żargonem, jako najbogatsza w przymieszane pierwiastki. Nie obroniłby się przed terminem „żargon“ i język polski; dość rzec, iż nie posiada on bodaj ani jednego wyrazu własnego (słowiańskiego) śród setek, poczynających się od liter A, E i F; wszystkie one pochodzą z łaciny, greki, arabskiego, lub z francuskiego i niemieckiego. (Nawet „zegar“ jest „Zeiger“, lub „okręt“ jest „Hochrand“).

Gdyby zaś brać miarę żargonowości z nieprawidłowości gramatycznych, t. j. z różnych „idjotyzmów“ i masowych wyjątków, to oczywiście na jednym z najniższych szczebli stanie djalekt żydowsko-niemiecko-hebrajski („idysz“ „mameluszen“), jeszcze znajdujący się w poszukiwaniu zasad gramatyki przeciw dowolnościom rozsianych po świecie grup żydowskich, zapożyczających nadal formy i wyrazy od rozmaitego otocza. Ale przy tej mierze okażą się też „żargonami“ wszystkie zgoła języki; wszystkie bowiem w biegu wieków skutkiem pierwotnej nieświadomej twórczości myśli językowej, błądząc po manowcach i z trudem wynajdując linje prawideł, nagromadziły w sobie szczątkowo mnóstwo „zboczeń“ od ujawnionych dopiero później świadomości gramatyków zasadniczych torów deklinacji i konjugacji. (W języku francuskim konjugacja wykazuje 2779 odmiennych końcówek).

Natomiast na najwyższym poziomie — całkiem poza linją żargonu — okaże się właśnie tak dyskredytowany przez nieuków język sztuczny, Esperanto! On bowiem jedyny stosuje w mechanizmie logicznym gramatyki i słoworództwa niemal matematycznie ścisłe zasady, nadane przez świadomą twórczość autora, operującego tem wszystkiem, co ujawniła nowoczesna lingwistyka i filozofja języka. A więc nie będzie tu „wojewoda“ posiadał końcówki swoistej wyrazom rodzaju żeńskiego (na a); „das Weib“ (kobieta) nie będzie, jak w niemczyźnie, rodzaju nijakiego (*das*); nie dojdzie się też tutaj do szczytu niegramatyczności, wynikłej z naśladowania bezmyślnego przez ciemne masy trudnego dla nich, bowiem obcego im języka niemieckiego, jak to się dzieje w swobodnem używaniu przez żargon artykulacji: „der Pferd, die Pferd, das Pferd“ — skąd „koniowi“ nadano wszystkie możliwe gramatycznie rodzaje: męski, żeński i nijaki.

FATALIZM SPOŁECZNY ŻARGONU W POLSCE

Jako lingwista, (acz w tej dziedzinie jeno amator), nie mam uprzedzeń względem gwary żydowskiej, jak nie miał ich prof. Baudouin de Courtenay. Jako znawca w pewnej mierze historji powstawania języków i gwar (etapu, poprzedzającego język państwowy i literacki), rozumiem warunki społeczne,

które stworzyły tę fatalność, że żydzi zapomnieli na długo swój własny język hebrajski dla aramejskiego, później aramejski poniekąd dla arabskiego, wreszcie sfabrykowali sobie w ghetto dogodną mowę nazewnątrz i nawewnątrz, w której wszystko, co związało się z powszednim bytem, z rzeczami użytku domowego i handlu, przybrało nazwy niemieckie, a jedynie pojęcia ogólne, związane z duchem religijnym, ostały się przy nazwach hebrajskich (Biblji), aramejskich (Talmudu), lub greckich (w rodzaju „apikojres" — odszczepieniec od nazwiska Epikura).

Nie będę więc śladem Marksa, lub żydowskiego dziejopisa Graetza mówił o „szpetności i śmieszności" żargonu, o „przekręcaniu haniebnem niemczyzny". Zaznaczę tylko nawiasem zabawny paradoks: idyszvści oburzają się straszliwie na każdego, kto dziś pozwala sobie na tego rodzaju swobodę estetyczną słuchowej oceny, rzucając gromy na tego rodzaju „antysemitów i nieuków", a przecie korzą się przed genjuszem Marksa i wielkością Graetza, którzy winni byli podobnegoż „grzechu". Rzecz gorsza jeszcze: wielbciele idei Herzla nie raczą wiedzieć o tem, że sam twórca sjonizmu politycznego nazywał żargon żydowski „żółtą łatą hańby", „językiem niewoli ghetta", i w swych pamiętnikach przewidywał, że w odrodzonej Palestynie Żydzi przejdą zapewnie do czystego języka niemieckiego; sam bowiem nie znał hebrajszczyzny i nie przewidywał... Hitlera! Mój objektywizm względem żargonu stwierdziłem, przekładając świetną humoreskę pisarza „żargonowego" Szalom Alejchema („Gimnazjum rosyjskie") na polski co, prawda z przekładu esperanckiego. Interesując się folklorem żydowskim, zajrzałem też do teatru żydowskiego, gdzie obok aktorów poślednich o dykcji niewyraźnej napotkałem znaczne talenty, czasem wyćwiczone w świetnej szkole teatru Stanisławskiego.

Jako społecznik i niezgorszy znawca konfliktów polsko-żydowskich na terenie dziejowym, pojmuję także warunki społeczne, które sprawiły, że dzisiejsi prowodyrzy żydostwa polskiego w pragnieniu swem podniesienia mas żydowskich na wyższy szczebel oświecenia z grzęzawisk przesądnego ghetta, chwycili się, jako najłatwiejszego narzędzia — żargonu, vel „języka żydowskiego". Nie przeszkadza mi to jednak w tym fakcie tak „naturalnym" — bo rzeczywistość jest naturalna — upatrywać „wynaturzenia", bo i to zdarza się w życiu. Albowiem o ile naturalną była asymilacja językowa Żydów na gruncie niemieckim w ojczyźnie żargonu niemiecko-żydowskiego, o tyle też winna była być równie naturalną asymilacja językowe z polszczyzną na terenie polskim, po przeszło 600 letnim pożyciu: czas dość długi! Rozumiem jednak, jak i dlaczego stało się inaczej, że „nowi" ludzie, przewodniczący u nas żydowstwu bodaj ludzie średniego umysłu i nieodważnego ducha—uznali za zbyt wielki dla siebie ciężar pójście w kierunku większego oporu; łatwiej było pochylić się ku nawykom mas żydowskich, ku gotowej gwarze, w którą musieli tylko włoczyć inną

treść. Wbrew miłośnikom tego stanu rzeczy, jako radośnie— normalnego, wolno upatrywać w tem wszystkiem jedno z wielkich skrzywień ducha żydowskiego, w które przecież obfitują dzieje „wybranego ludu"— tak na ziemi własnej, jak i w rozproszeniu „na wygnaniu".

Wina za ten stan rzeczy nie obciąża tylko samych Żydów. Spada w dużej części na otoczenie polskie, na jego fanatyzm szowinistyczno-klerykalny, zresztą — przyznać należy— przeciwstawiający się jeno w ciągu wieków fanatycznemu w odrębności przesądów rodzimych ghetta. Spada przecież na słabość kultury polskiej jeszcze w wieku XVIII; ogień jej nie zdołał roztopić w biegu czasu obojętności żydowskiej na życie umysłowe otocza, niezbyt świeckie, pulsujące w tradycjach kościelnej łaciny. Spada zresztą ta wina na większą zwartość i masowe rozmiary owego ludu małomiasteczkowego, wciśniętego między dzicz poddańczego chłopstwa, analfabetyczną drobną szlachtę i bezprawne mieszczaństwo, z trudem a zazdrośnie konkurujące z przemyślniejszym handlem żydowskim. Spada wreszcie — w najwyższej mierze — owa „wina" na nieszczęsne warunki niewoli, w której znaleźli się właśnie w wieku nowożytnej oświaty sami Polacy pod zaborem rosyjskim. Dozorca moskiewski nie życzył sobie wprawdzie zrusyfikowania Żydów w Kongresówce, popierając raczej wzgardliwie żargon, ale mocniej oparł się próbom masowej polonizacji Żydów, podejmowanym nieśmiało przez bezradne polityczne żywioły asymilacyjne oraz przez równie bezradne w wyjątkowości swojej szlachetne żywioły polskie, żyjące marzycielskiemi tradycjami Butrymowicza, Czackiego, Staszica i Kościuszki.

Bądź co bądź leczenie Żydów w obecnej porze z „grzechu" warunków odziedziczonych, ze skrzywień, którym szczęśliwszy na podłożu wolności politycznej Zachód potrafił w wieku XIX zapobiec hasłem równouprawnienia obywatelskiego Żydów — jest dzisiaj trudem bodaj beznadziejnym.

W ciągu długich lat, jako redaktor „Wolnego Słowa", uprzedzałem zawczasu asymilację o grożącem jej w przyszłości zatarciu przez żywioły nacjonalistyczno-żydowskie, ale moich ostrzeżeń zgoła nie rozumiano. Dziś, gdy sprawa zaogniła się okrutnie, trudno leczyć z „żargonu" masy żydowskie, nad któremi ster objęli już inni — nieodrodni potomkowie ludu Izraela, którego Mojżesz nazywał „upartym i krąbrnym", nad którym Jezajasz użalał się, że „ma wszystką głowę chorą i wszystko serce mdłe". Argumentami rozumowemi niepodobna trafić do nazbyt przekonanych o własnej słuszności, a zwłaszcza nie można oddziałać na tych, którzy zarabiają dziś dobrze na geszefcie nacjonalistycznym— aczkolwiek p. Wasilewski mniema, że pęd żydowski do Esperanta jest świadectwem „antynacjonalistycznej" roboty żydowskiej!

Gwoli charakterystyce zamieszania i konfliktów językowych w łonie żydostwa podkreślmy jeszcze fakt znamienny. Na gruncie nowej Palestyny Żydzi przez długi czas występowali

wrogo przeciw nieszczęśliwemu Ben Jehudzie (Eljanowowi), który głosił ideę wskrzeszenia mowy hebrajskiej dla potrzeb życia powszedniego. Żydzi — tubylcy i dawni koloniści — czuli się urażonymi głęboko, że świętą mowę liturgji jakiś nędzarz przybłęda, wędrujący z jedynym swoim zwolennikiem —o ironjo! z przyjacielem Polakiem, takim samym jak on nędzarzem — pragnie nagiąć do potrzeb tak niskich. Tragi ze zwłokami żony Eljanowa zarzucono kamieniami w mściwej namiętności; wypadło je pochować gdzieś na pustkowiu górskiem poza cmentarzem. Dziś przecież hebrajszczyzna w Palestynie zwyciężyła. U nas przeciwnie zwyciężył „idysz", który przecież przez masy żydowskie, acz praktykowany, był postponowany. Wszelako i dziś jeszcze zdarzają się okazy typu chasydzkiego, niedozwalającego, aby książka żydowska leżała na hebrajskiej; a nie odwrotnie, o ile wogóle dopuszczają do swego domu książkę lub gazetę żydowską. W każdym razie o ile tempo zmian w życiu żydowskiem stało się żywsze, to nie na rzecz polskości, a stan ten potęguje się dzięki coraz zajadlejszemu i bezsensownemu antysemityzmowi polskiemu, który najbardziej wrogo występuje przeciw żywiołom semickim, najszczerzej garnącym się do skarbnic oświaty polskiej i najwięcej wkładającym w nią skarbów własnego ducha.

PAN MAZUR, JAKO „GOSPODARZ"

Po tych wszystkich zastrzeżeniach— trzeba ich było aż tyle na naszym gruncie, obfitującym w miljardy bakteryj nieporozumienia — mogę już swobodnie mówić o nietakcie p. Mazura i rabina Posnera, którzy nad grobem Zamenhofa uznali za stosowne bojować o „idysz", występując z przemówieniami do polskich esperantystów w języku... żydowskim. Nie można bowiem inaczej zrozumieć tego ich wystąpienia. Wszakże obaj nie znają z pewnością chwalonego przez nich języka Esperanto, a pan Mazur otwarcie się do tego przyznał.

Rozpoczął on mowę jednem zdaniem w języku polskim— a więc zna ten język „krajowy" — za to charakterystycznem: „Gdybym posiadał esperanto, nie byłbym w kłopocie, w jakim języku mam przemówić; a ponieważ go nie posiadam, przemówię tedy na cmentarzu żydowskim — po żydowsku".

Nie przeczymy wcale, że prezes gminy żydowskiej jest „gospodarzem" na cmentarzu żydowskim. Ale grzeczny gospodarz zwykł przemawiać do swych gości zrozumiałym dla nich językiem, zwłaszcza gdy nim włada. „M a z u r", będący w kłopocie, jak ma przemawiać do słuchaczy, reprezentujących zjazd wszechpolski esperantystów, i nie wybierający polszczyzny — jest dziwadłem. Bo przecież wszyscy esperantyści, którzy stawili się dla uczczenia grobu Mistrza, bez względu na wyznanie i jakość poczucia narodowego — tak „rdzenni" Polacy, jak i „rdzenni" Żydzi —napewno doskonale rozumieją po polsku; natomiast żaden Polak nie rozumiał po żydowsku, a bo-

daj i z pośród Żydów-esperantystów niewielu rozumiało przemówienie p. Mazura. Ten i ów może chwytał piąte przez dziesiąte podobizny żydowskiego djalektu do literackiej mowy niemieckiej. W każdym razie nawet sporo Żydów nie rozumiało przemówienia, które w ten sposób rzucone zostało na wiatr.. dle idei „zwycięstwa idyszu na cmentarzu żydowskim"!

Jeżeli byli tacy Żydzi, którzy wcale nie rozumieją po polsku — chociaż takich i śród ortodoksów chasydów znaleźć trudno — to pozostali oni w godzinie uroczystości z rozporządzenia władz gminnych za pilnowanemi przez policję wrotami cmentarza. Jeśli p. Mazur takich Żydów chciał pouczyć o zwycięstwie idei języka międzynarodowego, to mógł to śmiało uczynić za bramami cmentarza, ewentualnie zaś zaprosić ich na cmentarz do grobu Zamenhofa... po ukończeniu uroczystości polsko-esperanckiej. Nie należało dla własnej nacjonalistycznej satysfakcji skazywać słuchaczy Polaków, lub Żydów, częstokroć niechętnych żargonowi z prawa osobistego gustu — do słuchania przemówienia niezrozumiałego obcością mowy. Sądzę, że p. Mazur nie przemawiał na cmentarzu do umarłych; zresztą w miejscu poczesnem, na którem przemawiał, śpią prochy wielu czcigodnych Żydów, którzy tyleż rozumieli żargon za życia, co po śmierci, bądź rozumiejąc, nie przeznaczali go do przemówień w stylu proroczym o pokoju między narodami świata. Pan Mazur nie miał tedy wcale potrzeby popisywać się przed gośćmi zjazdowymi swojem krasomówstwem żydowskiem, podobnie jak nie wtajemniczał ich w sekrety pokoju obmywalni trupów, jakkolwiek znajdowali się pełni czci należnej zmarłym, na „jego" cmentarzu. Ale niedarmo p. Mazur przewodniczy tej dzisiejszej gminie żydowskiej, która niedawno odtrąciła 6000-ny legat p. E. Kirszrotowej, „na rzecz ubogich studentów—Żydów wyznania mojżeszowego, narodowości polskiej", jako legat... trefny!

RABIN SĄDOWY, p. POSNER

Słów parę pod adresem rabina Posnera, który poszedł w ślad tańca Mazurowego. Argumentacja nasza co do zlekceważenia gości, którzy niespodzianie dla siebie znaleźli się na kazaniu żydowsko-niemieckiem, stosuje się i do p. Posnera — z tym jednak dodatkiem: pan rabin miałby prawo przemówić do gości w jeszcze niezrozumialszym dla nich języku—hebrajskim. Wysłuchaliby ze czcią zaciekawienia wspaniałych dźwięków mowy świątynnej, która była mową ojczystą Jezusa Chrystusa; sam zaś duchowny utrzymałby postawę dużej godności kapłańskiej, podobnie jak ksiądz, przemawiający słowami mszy łacińskiej do swych owieczek z prostego ludu, zasłuchanych zachwytnie w niepojęte, ale tradycyjnie święte dla nich dźwięki liturgji katolickiej.

Ale rabin Posner, syn asymilowanego dobrze ojca, prze-

mawiający w „mameluszen“*), aczkolwiek językiem polskim z domu włada i musi władać, jako... rabin urzędowy przy sądach polskich—mimo tekstu swej mowy, nie jest wcale miłośnikiem idei pacyfistycznej dr-a Esperanto, pracującego przez całe życie nad sprawą porozumienia się narodów, zamieszkałych na jednej ziemi. Jest raczej agitatorem na rzecz idyszu w chwili najmniej odpowiedniej — i jego hebrajscy koledzy, rabini w Jerozolimie, mieliby wielkie wątpliwości, czy nie uchybił on swojej godności kapłańskiej wystąpieniem na cmentarzu żydowskim w języku tak bardzo zbratanym z mową znanego miłośnika Żydów... Adolfa Hitlera!

Oto w jaki sposób panowie dostojnicy żydowscy, nieposiadający nietylko taktu towarzyskiego, ale nawet odrobiny zmysłu politycznego — aczkolwiek nieustannie prowadzą walki polityczne — stawiają tamy rozwojowi Esperanta w Polsce, tworząc pozory, iż zwolennikami tej idei mogą być tylko ciaśni Żydzi i szabesgoje — żydoidzi. Będą oni prawili o tem, że Ludwik Zamenhof szedł tropami proroków hebrajskich w poczuciu miłości wszechludzkiej, a jednocześnie formą swych wystąpień będą pompowali wodę na młyny antysemityzmu, odstraszającego Polaków od genjalnego wynalazku Zamenhofa i jego wnętrznej idei — zgody ludów.

DR. J. GOTLIEB, JAKO „RYCERZ PRAWDY NARODOWEJ“ DO PARY Z p. WASILEWSKIM

Podkreśliłem nietakt, wszelako daleki od nikczemności, jakiej dowody składają pp. Wasilewski i Nowaczyński w swoich napaściach na Esperanto i jego zwolenników. Nie znaczy to wcale, aby w nacjonalistycznem środowisku żydowskiem nie lęgły się wcale żmije, podobne do Nowaczyńskiego i Spółki, tak samo kłamliwe, potwarcze, fanatyczne w nienawiści i obłudne z ducha. Nie chcąc być gołosłownym pozwolę sobie wymienić na tem miejscu dra Gotlieba, zażywającego niestety czci u obełgiwanych przezeń ciemnych mas i zaślepionych przezeń literatów żydowskich**). Dla charakterystyki tego, co się dzieje w sąsiedztwie bliskiem, a nie jest zupełnie spostrzegane od strony polskiej — dla zrozumienia sposobów bojowania nacjonalistycznego od strony żydowskiej, jako pendant do obron endeckich „Świętego Ducha“ — przytoczę próbkę z osobistych doświadczeń.

Ów p. Gotlieb, zawodowy agitator sjonistyczny i pseudo - dowcipny feljetonista, którego pozbawione smaku koleżeństwo w jubileuszowych pochwałach porównywało, do... mistrzów francuskich (tylko tyle!), pewnego dnia pozwolił sobie

*) „Mamine gaworzenie“ — tak zwie się pieszczotliwie „idysz“ (język żydowski) w odróżnieniu od mowy ojców (hebrajskiego).

**) Obrali go za prezesa T-wa Dzienn. i Lit. Żydowskich.

podeptać dzieło moje p. t. „Mojżesz współczesny“*). O co mu chodziło?

Wszakże w dziele tem zadałem najboleśniejszy w literaturze polskiej policzek antysemityzmowi. Nie będąc sjonistą, oddałem przecie hołd pietyzmu szlachetnej woli szermierza idei sjonistycznej Herzla, usiłującego zbawić nią swój nieszczęsny naród przed wzgardą, nędzą, prześladowaniem, które paroksyzmowo wybucha na ziemiach „wiekowego wygnania“. Nie wchodząc w to, czy ten jego ratunek jest fantazją, czy zbawi tylko cząstkę z miljonów, czy nie rozpęta w skutkach swoich nowej burzy nad żywiołami najbardziej zasymilowanemi — jak stało się właśnie w Niemczech, gdzie Hitler na podstawie pism sjonistycznych pomawia Żydów, patrjotów niemieckich, o „wieczysty separatyzm“—wyjaśniłem w dziele mojem, jak niezasłużona wzgarda, jak pogromy kiszyniowskie, jak tragedja Dreyfusa, oddziaływać muszą na takie dumne i szlachetne serce, jakie biło w piersiach Herzla. Dość rzec, że poseł na sejm, rabin Thon, wzruszony mojem dziełem, napisał do mnie list, w którym przyznał mi, że „odczułem głęboko duszę Herzla“. Z drugiej strony ks. dr. Mącior, red. Przeglądu Katolickiego pod wrażeniem mojej książki potępił „niesprawiedliwy antysemityzm, krzywdzący zalety żydowskie“**) i podniósł piękno postaci Herzla.

Dlaczego więc taki typ, jak ów Gotlieb — który, jak to widać z oceny, nie zawierającej ani jednego faktycznego szczegółu, napewno książki mojej nie przeczytał (podobno wogóle książek polskich nie czytuje) — uchwyciwszy się tylko tytułu mego dzieła i nazwiska autora osądził w swojej feljetonistycznej paplaninie w „Hajncie“, że „ten Belmont to jest niższy od najniższego z otaczających Herzla ludzi“? Aczkolwiek w dzieło moje, mające na celu pogodzenie Polaków i Żydów włożyłem sumienne studja wielu lat i ból serdeczny cudzych i własnych krzywd, aczkolwiek nie dało mi ono ani grosza zarobku za całe miesiące ciężkiego trudu, przeciwnie przyprawiło mnie o stratę wszystkich zasobów, zebranych za inne, nędznie wynagradzane prace, bo uparłem się wydać dzieło tej wagi społecznej i osobistej na własne ryzyko — p. Gotlieb odważył się ogłosić, że napisałem rzecz o Herzlu „w celach sensacji i spekulacji“.

Dlaczego przy tej sposobności—on, który zapewnie sam pisze tylko dla geszeftów, i nie rozumie innych pobudek, artystycznych—odważył się podeptać całą moją literacką pracę na niwie polskiej, acz i tu nie zdradził niczem, iżby chociaż jedną moją książkę przeczytał? Nie znając mego trudu i ciężkiego losu, osądził, że robię poprostu złote interesy na sensacyjnych powieściach. Chcąc dobić mnie ostatecznie twierdzi, że

*) Patrz recenzję w n-rze 9-1931. Red.
**) Mniejsza z tem, czy ks. M. istotnie potępia antysemityzm. Red.

„ten Belmont“ do takiego stopnia upadł, iż „nie zasłużył sobie w Polsce za swoje dzieła nawet na pogardę“. „Zupełna obojętność“, której przeczy jednak wielka poczytność moich dzieł, stwierdzona statystyką czytelni publicznych.

Magiczne słowo „meches“ — a raczej anty-magiczne, bo służące po myśli p. Gotlieba do odstraszania jego „narodowych“ czytelników od dzieła „mechesa“ — wyjaśnia wszystko. Czego nie wolno napisać o „mechesie“? Każda podłość jest dozwolona pod piórem tego, ktory zdaje się sądzić, że „zasługiwanie na pogardę“ jest zaszczytem, albowiem mnie tego zaszczytu e x r e moich polskich dzieł odmówił. Natomiast ogłosił on w tym-że feljetonie, „że chcąc siebie ratować, przyczepiłem się do ruchu esperanckiego“, ale i tu „spotkał mnie los zwykły“ — tym razem losem zwykłym ma być pogarda. Czy potrzebuję wymieniać wszystkie zaszczyty, jakiemi obdarzyła mnie wdzięczność esperanckiego świata u nas i zagranicą, czy mam powoływać się na moją długoletnią przyjaźń z twórcą języka aż do śmierci i z wielkim poetą esperanckim Grabowskim aż do zgonu jego, oraz fakt, że jestem członkiem Najwyższej instytucji esperanckiej (Akademji Paryskiej), aby godnie napiętnować syczenie tej gadziny - ignoranta i potwarcy w jednej osobie!

Oto śród takich żmij z bagien polskich i żydowskich wypada człowiekowi przez blisko pół stulecia pracować, kiedy oddychać w zatrutej ich cuchnącym oddechem atmosferze trudno! Dla jednych przedstawicieli „Myśli narodowej“ jest się zawsze Żydem, dla drugich jest się tylko „mechesem“. Jedni mają w zapasie za plecami zawsze Świętego Ducha, drudzy chowają skrzętnie święte „cycesy“ pod nowoczesną nacjonalistyczną kamizelą— jedni i drudzy bryzgają śliną nienawiści na wszystko, czego zrozumieć nie zdołają. A te żmije, zamiast ucałować się, boczą się na siebie; — za to do spółki napadają na ludzi uczciwych i na szlachectwo Myśli Wolnej, która przelatuje wysoko ponad błotem, w którem grzęzną rozkosznie ich marne dusze!

Leo Belmont

Duch katolickiej pieśni religijnej

(dok.)

PIEŚŃ ROZTKLIWIA SIĘ NAD NIEMOWLĘCIEM

„Sam robaczek (niemowlę — Jezus) w głodzie, a świat w wygodzie“ (56); „pałacu kosztownego żadnego nie miał zbudowanego“ (38); przyszedł na świat „w ubóstwie“ (37);

„nędze, ubóstwo, wyniszcza (jego) bóstwo" (60); „w stajence, na biednej pościeli" (41); „drży od zimna, bo w podłe powicie jest uwiniony" (47), ma prosić mateńki, by go owinęła w „ciepłe piernaty, w miękkie bławaty" (47). Jako niemowlę już prosi jakby człowiek mówiący. Ale leży tymczasem „owinięty w rąbek z głowy matki" (47).

Przy nim jego niby ojciec, Józef „staruszek spojrzy łagodnie w lice Marji" (64). „Św. Józef znał siedem radości i boleści" (339), podobnie jak Marja.

„Józef mu ściele w żłobku niewiele siana (55), Jezus spoczywa „na zielonem sianie" (45). Jest tam „błahy złób" (37) „ubogi złób" (35). Mimo tego siano przyrównane jest do kwiatu różanego, królewskich bławatów. Wielkie roztkliwianie się nad sianem, w którem Jezus został złożony (63); „niedość, że to boskie dziecię, żeś na świecie z nami? ale jeszcze zimno cierpisz między bydlętami".

Tutaj sentyment ludzi do dzieci szczególnie się zaznaczył. Choć, gdyby to wszystko traktować w myśl katolickiej wiary, to byłaby to dobra wola boga — Syna, iż sobie takie miejsce na urodziny obrał. Zmuszony do tego nie był.

Gdzie szopa, tam muszą być bydlęta. Żadne źrodło o nich nie wspomina, ale była to konsekwencja wypływająca niejako z przeznaczenia szopy. A tymbardziej, gdy u Izajasza I 3 znaleziono werset: „Zna wół właściciela swego i osioł żłób pana swego". Werset ten odniesiono do żłobu Jezusowego. W pieśni Jezus „rodzi się między bydlęty" (218;) „wół i osioł dworzanie jego" (57]; „wół i osioł się kłaniają' (57); „Na kolana wół i osioł przed nim klękają, a swoim go stworzycielem i panem znają"; „wół z osłem klękają, parą zagrzewają" (55) „nieme bydlęta, oborne zwierzęta jakby Pana chwały, czuciem poznawały na kolana padają" (47) „bydlęta klękaią, cuda ogłaszają" (45).

Dla uczczenia dzieciątka powstaje muzyka na wszystkich dawnych instrumentach: „w kotły, trąby, cymbały, dudy, skrzypice, basice i klarnety, w arfę, cytry, wiolę, lutnię, pózon, flet, bandurę i spincty w szopie zagrali" (55). „Bijcie w kotły, w trąby grajcie, a Jezusa przywitajcie" (43).

Nawet zwierzęta swemi głosami wtórują muzyce: „kaczka pstra, gęsiorek, jędorek, czyżyczek, szczygliczek, słowiczek-muzyczek skowronek jak dzwonek, wróblowie-stróżowie" (68). Lud zaś chce dać Jezusowi słodkich jagódek, kukiełeczkę, cukierka, piękne jabłuszko (50). Wszystko to niestrawne dla niemowlęcia świeżo przyszłego na świat.

Te opowieści, których tematem „bydło, pasterze, siano" (40) inaczej się rozwinęły w tradycjach islamu. Według koranu Marja urodziła Jezusa nie w gospodzie, ale pod palmą w pobliżu strumienia. Jest to jakby powtórzenie wątku o narodzinach Buddhy pod drzewem Palsa. Latona, matka Apollona urodziła wsparta na drzewie oliwnem.

Mitologicznie wątek o żłobie rozwinął się w ten sposób: Buddha urodził się, gdy słońce wstąpiło w znak Raka.

W tradycji greckiej w znaku tym widziano gwiazdę Epsilon zwaną Żłobem. Stąd Jezus urodzony, został włożony do Żłobu. Skoro był żłób, to musiała być także szopa i zwierzęta, bo żłób służy dla zwierząt. W pomoc przyszedł werset z Izajasza I 3 jak to wyżej omówiłem.

Jako podźwięk tych tradycyj możnaby uważać, niektóre rodzime opowieści o tem, jakto matka boska „porodziła w ogrodzie przy studziennej wodzie" (Materjały antrop. II 181). „Pod zielonym jaworem łoże malowane i pięknie usłane, a na tym-ci łożu Najświętsza Panienka syna porodziła i w kobiałkę włożyła, z niej wyjęła, w pieluszki powiła, w jasełka włożyła i zakołysała" (Zbiory do antrop. IV 100).

Ten sam sentyment, który po swojemu oplótł wątek o narodzeniu Jezusa, oplótł także jego koniec. Cichy baranek zostaje nazwany „głupim" (73), do czego niema żadnej tekstowej podstawy. Szczególnie lubowano się w opisie męki pańskiej, dopowiadając różne szczegóły przez biblję nie podawane o męczeństwie Jezusa: „wszystkie żyły w nim porwali" (81). Oczywiście zaraz to prowadziło do różnych bezpodstawnych ze stanowiska wolnomyślicielskiego samo-kajań: „za m o j e złości grzbiet srodze biczują" (73); „sprosne złości m o j e sprawiły te niepokoje" (83). Krzyż staje się przedmiotem szczególnych rozważań i pietyzmu, jak przy narodzeniu żłób i siano: „w krzyżu osłoda, w krzyżu ochłoda" (86); drzewo krzyża Jezusa jest „przenajszlachetniejsze", w żadnym lesie takiego niema, „słodkie drzewo", „słodkie gwoździe". Opowiadano, iż Jezus „czasów nieszpornych był z krzyża zdejmowan" (83), choć ów nieszporny czas jest oczywiście anachronizmem.

„Słońce, gwiazdy omdlewają żałobą się pokrywają" (69). Biblja nic o gwiazdach nie wspomina, tylko o Słońcu i Księżycu. Ale współczucie przyrody lub ciał niebieskich dla konającego bohatera spotykamy w wielu mitach.

Pieśń rozpamiętuje ową mękę bardzo szczegółowo i winy przypisuje oczywiście człowiekowi. „Niemało cierpiał, żeśmy (bośmy) byli winni sami" (39), za „grzechowe długi" (23). Jezus cierpiał „w mękach niezliczonych" (23). Jeśli zamiast Jezusa wspomniano o Baranku to śpiewano: „Baranku Boży z a m n i e na ofiarę z a b i t y", choć według Apokalipsy ów Baranek, wiosenny znak zwierzyńca niebieskiego, był zabity „od założenia świata" (Ap. XIII 8), a więc jeszcze przed pojawieniem się ludzi na ziemi.

Niekiedy pieśń jakby starała się wzruszyć boga - Ojca cierpieniami Syna, ale naogół zgodnie z teologją winę cierpień Syna ponosi nie bóg-Ojciec, lecz ludzie. „Spojrzyj na Syna Twojego, na boleści i rany, Na tak gorzką mękę jego, Boże Ojcze kochany!" (23).

To przyzwolenie Ojca na śmierć Syna jest traktowane jako szczególny objaw miłości boga do ludzi. Oto wyjątek modlitwy: „p o k o r n i e dziękując za tak wielką i n i g d y n i e p o j ę t ą miłość ku narodowi ludzkiemu, że nam niegod-

nym zesłać raczył syna swego jednorodzonego, aby w przyjętej od siebie ludzkiej naturze zadość uczynił boskiej sprawiedliwości i dlatego tak okrutne męki wycierpiał i śmierć podjął krzyżową“ (70), tym bardziej więc „wodą należy obmyć zmazanego grzechem, żeby kiedy piekielnemu nie wpadł w paszczękę srogą smokowi strasznemu“ (196). Mamy więc dawnego „smoka”, w którego już na szczęście wierzyć przestano i Piekło, w które wierzą chrześcijanie po dziś dzień, a które bynajmniej nie jest objawem „miłości bliźniego“, lecz okrucieństwa.

To odkupienie miało wpływ na „więzienie czyśćcowe" (23) dusz w niem pokutujących w morzu płomieni. Na szczęście pobyt tam ma być tylko czasowy, w przeciwieństwie do potępieńców w Piekle, dla których żadnej amnestji niema. „Dobroć Jezusa obdarza ochłodą dusze w czyśccu“ (25); „rana z boku Jezusa ma zalać krwi potokiem męki czyścowe“ (196). „Potu krwawego strumienie niechąj zaleją płomienie, niech z rózg krwią twą zbroczonych spłyną krople na strapionych. Niechaj z boku przebitego z serca twego zranionego spłyną do czyśca strumienie na dusz ludzkich ochłodzenie“ (202).

„Jak wielce Bóg miłosierny! Odżałował Syna swego By krew przelał dla grzesznego człowieka, by wiecznie nie zginął“; „syn się chętnie ofiarował, by spełnił wieczną wolę“ (31). W „Gorzkich Żalach“ wierni ofiarowują bogu rozmyślanie o męce Jezusa na cześć i chwałę jego boskiego majestatu. Szczególny sposób czczenia majestatu boga rozmyślaniem o śmierci swego własnego syna, który przecież nie potrzebowałby się poświęcać na „okrutną mękę“, gdyby jego ojciec wynalazł inny sposób przebłagania swego „majestatu“ (69).

Stąd „serce Jezusa“ staje się przedmiotem szczególnego kultu: „Wierni niosą s e r c e J e z u s a, które im on dał jego m a t c e, b y s i ę w e s e l i ł a” (127). Serce stało się tu jakby uosobieniem miłości, choć takie ofiary nie muszą być miłe matce, która właśnie tego syna straciła, z którego pewną część przynoszą jej ludzie. „A za tak wielki skarb ci dany w p u ś ć n a s d o b o s k i e j s e r c a r a n y, wpuść nas na wieki tam, bo tylko twoja przyczyna może wprowadzić grzesznych w to serce boże; w sercu Jezusa syna ranie nas biednych zamknąć chciej“ (128 z opuszczeniami).

Ale nie dość bogu raz dokonanej ofiary. Ma się odmawiać ona codziennie w mszy. Z innego stanowiska wyszli protestanci i kalwiniści, twierdząc, że to, co raz się stało nie może i nie potrzebuje być odnawiane. I dlatego u nich mszy niema. Katolicy czczą jednak „utajonego“ Jezusa w opłatku. „Straż przy nim czynią anieli możni, nie przystępujcie blisko bezbożni“ (110); „padniemy na twarz przed Tobą” (21, 22). Zdaniem katolików „cały świat upragniony anielskiego chleba“ (35); z wolnomyślicielskiego stanowiska opła-

tek jest oczywiście tylko opłatkiem, ofiara Jezusa była zupełnie niepotrzebna, gdyż nie było grzechu pierworodnego.

WYBRANIE DZIEWICY DO WCIELENIA SIĘ SYNA

Całe to wcielenie Syna mogło się dokonać oczywiście tylko za pośrednictwem wybranej kobiety, którą miała być Marja, córka Anny i Joachima. „Bóstwo od wieków ciebie obrało za matkę swojemu synowi, aby przezeń się zbawienie stało nędznemu na ziemi ludowi“ (132); „nie była Panu Bogu żadna nad cię milsza“ (34); „wprzódy nim byłaś na świat zrodzona jaśniałaś światłem niezgaszonem“ (132).

Dlaczego właśnie ta, a nie inna miała się nią stać, teologja nie podaje. Jest to pewnego rodzaju w istocie „tajemnica“ boga, który takiego wyboru dokonał, podobnie jak różnego rodzaju władcy w dawnych czasach i w krajach, gdzie ani osoba, ani wola kobiety nic nie znaczy, a ona w tej sprawie wogóle niema nic do gadania. To wyjątkowe zaszczycenie jednej panny takim wyborem i wyjęciem z pod powszechnego dla całego rodzaju ludzkiego przekleństwa grzechu pierworodnego, jest mimo wszystko aktem niesprawiedliwym ze strony boga, jeśliby tę sprawę rozstrzygać w myśl rozumowań teologów.

Owa niczem niegłośna Marja zachowuje się typowo, jak kobiety Wschodu, których najwyższą cnotą jest posłuszeństwo. „Panna się wielce zdumiała z poselstwa, które słyszała. P o k o r n i u t k o s i ę s k ł o n i ł a, jako panna sromieźliwa. „Toć ja służebnica jego, stań się według słowa tego” (26). Mimo tego, był to w stosunku do tak dostojnej postaci jak Syn boga akt pewnego poniżenia zstąpić w ciało ziemianki, choćby nawet o wyjątkowych zaletach ducha i ciała. To też pieśń nazywa ciało Marji „nikczemnem“ (56), choć w innych pieśniach ją idealizuje. Nawet tak głośna pieśń jak „Te deum laudamus“, pieśń, którą spiewał Kolumb po wylądowaniu na Guanahani wprowadza owo pojęcie poniżenia się Jezusa w słowach: „non horruisti Virginis uterum“*) „nie wzdrygnąłeś się przed brzuchem Dziewicy” (188).

Inna pieśń wprowadza także ten wyraz, choć w innem znaczeniu, bez zastosowania do kobiety: „ex utero aute luciferum genui te“ (257) „nim jeszcze zorzy świecić kazałem ciebie z wnętrzności moich wydałem“ (292).

Ale mimo tego „poniżenia“ pieśń idealizuje macierzyństwo Marji: „piersi niewinnej mateńki, nad kanar słodszych maleńki“ Jezus kosztował (57).

Marja, ciesząc się tak szczególnym przywilejem boga i wyświadczywszy jego synowi przysługę przez umożliwienie mu wcielenia, staje się teraz pośredniczką między Synem-bogiem a ludźmi-ziemianami: „Ty masz po sobie i Ojca i Syna

*) Wyraz u t e r u s oznacza tę część brzucha, gdzie u kobiet poczyna się płód.

snadnie go twoja przejedna przyczyna, pokazawszy mu piersi i wnętrzności łatwo go skłonisz matko łaskawości mieczem przebite pokazuj mu serce, gdyć syna na krzyż wbijali morderce“ (137).

Ten charakter pośrednictwa wielokrotnie występuje w pieśniach i modlitwach: „zasłużyliśmy to prawda przez złości, by nas bóg karał rózgą surowości, lecz kiedy ojciec rozgniewany siecze, szczęśliwy kto się do matki uciecze“ (137); „zagniewanego błagaj niebios pana“ (125); „wysłuchaj nas, gdyż tobie syn odmówić nic nie może“ (120); „ubłagaj syna niechaj się zmiłuje“ (115); „rozbrój gniew syna swojego, by nie karał ludu swego“ (124). „Kto cię nie uczci słowem i czynem, za tym nie staniesz na sądzie w obronie, kto gardzi matką, ten gardzi i synem, kto gardzi światłem w ciemnościach zatonie“ (111); „tyś jest ucieczka“ (33); do Marji „idźmy ufnym krokiem rzewnem sercem, łzawem okiem” (120).

Nawet o rzeczy tak niezależne od woli ludzkiej, jak uczucia i ich pojawianie się ludzie proszą Marję: „uproś nam miłość, nadzieję, wiarę racz uprosić wszystkim bożą łaskę“ (133); „czemuż nie mam wiary i miłości patrjarchów“ (230).

Dziwne wymagania! Czyż jeśli się niema zdolności np. do poezji, muzyki to można za to być odpowiedzialnym? W kim się „wiara” nie zrodziła, ten nad tem nie może i nie powinien ubolewać. Pomijam już to, że z naszego stanowiska takie szczęśliwe, bezwiarowe usposobienie jest prawdziwem dobrodziejstwem.

Następuje niebywała idealizacja Marji. Spokojna kobieta palestyńska jest w dworski sposób adorowana: „O! całego niewieściego rodu chlubo i chwało, tyś wybranka! kwiecie wianka twego niebo splatało“ (122). „Matko niebieskiego pana ślicznaś i niepokalana, ty aniołów archaniołów swą godnością i pięknością przewyższasz“, „gwiazdy wszystkie assystują, bo królowę w niebie czują“ (124). „Ty jasną roztocz zorzę o jutrznio powstająca, o gwiazdo z chmur świecąca“ (119). Owa „gwiazda zaranna“ to dawny tytuł bogiń Izydy, Isztary. Nie inaczej jest z tytułem „gwiazda morza“ (119). To dawna Isis Pelagia — Izyda Morska.

W litanji do Marji, pochodzącej z XIII lub XIV wieku z późniejszemi uzupełnieniami spotykamy tytuł matki 10 razy, panny 6 razy, naczynia 3 razy, królowej 11 razy. Kobietę tę przeidealizowano w „niebieską lilję“ (33), w „czystszą nad kryształ“ (125), choć nic nie wiadomo ani pozytywnego, ani negatywnego o stopniu jej urody, czy też o jej zaletach lub wadach. A gdy rozwinęły się „majowe nabożeństwa“ Marja nabrała cech jakby postaci bogini roślinności: „już majowe świecą zorze, przed obrazem świeże kwiaty“ (123). To jeszcze bardziej oddaliło tę postać od jej tła palestyńskiego.

Wyraźnie to występuje w pieśni o Marji z Lurd, Bernardka, dziewczynka w Lourd widzi Marję: „Blask jakiś nadziem-

ski otacza ją wkrąg, złocisty różaniec zwiesza się z jej rąk, niebieska przepaska spływa z białych szat, na każdej z jej nóżek błyska róży kwiat" (319).

Ów różaniec jest anachronizmem, i niema sensu w rękach Marji, bo przecież nie mogła się Marja na nim modlić do samej siebie, choćby nawet za jej życia wynaleziony został. Szaty oczywiście zupełnie niepalestyńskie.

„Tyś jaśniejsza łaską bożą, niż jutrzenka, gdy przed zorzą na zaraniu zajaśnieje, promieniami na świat sieje" (338).

Bernadecie w Lurd Marja oświadcza: „Jam jest Niepokalane Poczęcie", a więc już nie Marja, tylko mitologiczna personifikacja Poczęcia niepokalanego, w przeciwieństwie do ludzkiego, czyli pokalanego grzechem pierworodnym, którego nigdy nie było. Jeszcze lepiej było we wsi francuskiej Beauraing, gdzie Marja miała się ukazać pięciorgu dzieciom w wieku szkolnym i powiedzieć do nich 21 i 22 grudnia 1932: „Ja jestem Niepokalanie Poczęta" (Kurjer Warszawski, 5 stycznia 1933, nr. 5). W istocie! aktualny temat dla dzieci obrała owa „Matka Boska", mówiąc im o poczynaniu!

Teolodzy poszli jeszcze dalej w idealizacji, nadając wzorem pochlebstw dworskich cały szereg tytułów np.: „o najśliczniejsza pani Libanu, nad chór aniołów wywyższona, śliczny cyprys górnego Syonu, a w Kades palmo podwyższona, o ty różo Jerycha wspaniała, twą piękność zna niebo, ziemia cała, o gwiazdo ranna najjaśniejsza, oliwo woń piękną mająca, liljo w cierniu najpiękniejsza" — a dalej: „Gdyby wszystkie światowe języki, wznosiły chwałę twoją w okrzyki, i toby wszystko nic nie było, coby twej chwale wystarczyło" (132-13?).

Niesmaczna przesada, przypominająca czasy rokokowego dworactwa.

Marji przypisują cechy, o których biblja wprawdzie milczy, choć możnaby je jeszcze poniekąd wydedukować z wypadków, jakie w jej życiu zaszły: „ty! w całem życiu łagodna, cicha" (145); „pełna wszechświatłości, wielkiej pokorności" (34). Ale cóż mówić o cechach, które żadną miarą nie licują z poziomem umysłowym prowincjonalnej kobiety palestyńskiej, towarzyszki cieśli w małym Nazarecie: „której żywot pełen wszech cnót i niebieskiej nauki (?) zmyślne wszystkie heretyckie starł wywody i sztuki" (118)! „Luminarze chociaż w parze nie tak jaśnieją, bo przy świętem poczęciu twem zaraz bledniej ą sami święci w niebo wzięci nie wyrównują twej piękności i czystości, którąć przyznają" (142).

To jest już zwyczajne dworactwo teologów.

Cóż powiedzieć o takim porównaniu: „śliczna bez zmazy, lilja, wdzięczna Estero" (114), furto rajska". Estera była haremową kobietą króla perskiego. Niektóre porównania są co najmniej dziwne np. „pałac wstydu panieńskiego", „Abiszag prawego Dawida grzejąca" (352). Ładne porównanie! Historja owej Abiszagi

podana w I Księdze Królów I 1 — 4 jest następująca: „A gdy król Dawid się zbyt zestarzał i zaszedł w lata, a choć okrywano go derami, przecie rozgrzać się nie mógł. Tedy rzekli doń słudzy jego: niech poszukają panu naszemu, królowi, młodej dziewicy, któraby usługiwała królowi, a była mu piastunką, a spoczywając na łonie swojem, rozgrzewała pana naszego, króla. Szukali tedy dziewicy pięknej po całej dziedzinie izraelskiej i znaleźli Abiszagę, sunamitkę i przywiedli ją do króla. Że zaś dziewica ta była piękna bardzo, stała się królowi piastunką i usługiwała mu; król wszakże nie poznał jej". — Otóż tę to Abiszagę używaną do nakrywania swem ciałem zdziadziałego i chorego na starczą impotencję króla Dawida porównuje hymn na sekstę do Marji, uosobienia czystości „matki niepokalanej". Drugiem takiem niefortunnem porównaniem jest „o mężna białogłowo, Judyt wojująca". Była to kobieta, która ucięła głowę asyryjczykowi, który z nią noc spędził.

Oprócz tych niefortunnych porównań, które po głębszem rozważeniu razićby musiały nawet wiernych katolików, przypisują jeszcze Marji inną działalność: „Jam sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nieustająca i jako mgła okryłam wszystką ziemię" (353). Ani taka światłość jest nieznana, ani taka mgła.

A jak mogła wyglądać owa przeidealizowana kobieta „najczystsza", „najśliczniejsza", której róże z pod stóp wyrastają, gdyby ją pomyśleć w realnych warunkach na tle ówczesnego środowiska?

Umysłowość prowincjonalnej kobiety palestyńskiej, oficjalnej „żony" robotnika w małem miasteczku. Niczem się niezaznaczająca w życiu, nierozumująca działalności swego syna, którą Jezus przeciwstawia jako matkę ideowemu gronu swych bliższych. Nawet jej na ostatnią wieczerzę nie zaprosił. Co do jej wyglądu fizycznego i charakteru nic powiedzieć na podstawie biblji nie można, a to, co śpiewają o niej pieśni, to zwyczajne pochlebstwa dworaków-religjantów. Jeśli wyszła za mąż między rokiem 13 — 15 według zwyczajów swych palestyńskich rówieśniczek, to mogła w chwili śmierci Jezusa mieć pod pięćdziesiątkę, to jest być podobnie jak kobiety z jej środowiska roztyłą i już dawno pozbawioną wszelkiej urody, jeśli ją kiedy posiadała. Gdyby taki typ zestawić z tym typem przeidealizowanym, jaki nam przedstawiają teologowie, to byłoby wielkie rozczarowanie.

Ale to wszystko oczywiście tak przypuścić należałoby, gdyby Jezus był postacią historyczna. Jeśli nią nie jest, to razem z nim również nie może nią być jego matka.

NIEZROZUMIAŁOŚĆ DAWNYCH TRADYCYJ

Dawna tradycja powstała na tle palestyńskim a przefiltrowujące się do narodów północnych poprzez kulturę grecką

i rzymską wielokrotnie są pełne anachronizmów i dziwacznych nieporozumień. Tak np. „aniołowie pod niebiosy wyśpiewują“ po łacinie (45).

Inna pieśń prosi gwiazdkę betleemską o boskie światło, „byśmy zajść mogli po jej promyku do stóp świętych zbawiciela“ (49).

Modlitwa z pod Stopnicy chroniąca od nieszczęścia (Zbiory antrop. III 60):

„W niedzielę rano słoneczko wschodzi. Najświętsza Panienka po niebie chodzi, zetchnęła się z świętą Wanieliją: „Czegóż to chodzisz Panienko Maryjo?“ Idę ja, idę na jutrznię, z jutrzni na ranną mszę, z rannej mszy na czytanie, z czytania na kazanie, z kazania na morze, z morza na biały kamień, sam Pan Jezus klęczy na nim“.

Tutaj „święta ewangelja“ przemieniła się w postać świętej Wanieliji, a więc kobiety, a msza, która się wytworzyła po śmierci Jezusa jest nabożeństwem na które jeszcze Marja chodzi.

Z greckich modlitw pozostały niezrozumiałe dla ludu wyrażenia odmawiane we mszy: Kyrie elejson 6 razy. (Panie odpuść), Christe elejson 3 razy.

Niektóre pieśni przestały wogóle już być rozumiane, np. (124): „jakie wieki, czas daleki, czas niemały, gdy świat cały niesłyszał“, lub modlitwa: „Pozwól mi o najsłodszy zbawicielu, ażebym ci najdroższą ofiarę zbawienia mego poświęcił z intencją sługi ołtarza“ (224).

EPILOG

Zamieszanie harmonji dworu niebieskiego, jakie nastąpiło na skutek postępku Ewy, grzech pierworodny, odkupienie, wcielenie się Jezusa w Marję wszystko to było złudzeniem wieków.

Trwało to wszystko do roku 1871, w którym wystąpił Karol Darwin z tezą o zwierzęcem pochodzeniu człowieka. Razem z mitem o pierwszych rodzicach i o grzechu pierworodnym runęło wszystko, co się na nim wspierało. Był to cios śmiertelny dla chrześcijaństwa. Nic dziwnego, że cały kościół zmobilizował się do walki, która do dziś — dnia jeszcze trwa.

Organizacja chrześcijaństwa trwa i trwać będzie jeszcze czas, którego kresu bliżej określić nie umiemy. Ale to, co przedtem było złudzeniem, to po owym roku stało się świadomem oszukiwaniem. Wprost trudno jeszcze docenić skutki tego wystąpienia, bo nie mamy jeszcze zbyt dalekiej perspektywy na ten wypadek, ale niewątpliwie stało się to początkiem zbliżającego się końca.

Zapamiętajmy więc tę datę: rok 1871!

St. Asté

Gorzkie pigułki

Nie marzyć a urzeczywistniać

Jakiś pobożny pisarz woła: „Marzeniem naszem musi być pokój i wzajemna pomoc“. Ale chrześcijanie marzyli o tem przez całe wieki w każdą niedzielę (nie mówiąc już o dodatkowem marzeniu na Boże Narodzenie), a narody są równie dalekie od pokoju i pomagania sobie nawzajem, jak i przedtem. Nie wystarcza marzyć o pokoju, aby uczynić go rzeczywistością.

Pałka i nóż — czyli chrześcijańskie tradycje hitlerowców

Von Pappen, pobrzękujący szabelką apologeta (chwalca) narodowych socjalistów, napisał niedawno dla „Evening Standard“ artykuł, w którym oznajmia, że przed rewolucją hitlerowską, „dzieci niemieckie wychowywano w niewiedzy bohaterskich czynów Fryderyka Wielkiego i nie mówiono im o ich chrześcijańskich tradycjach“. Prawdopodobnie krwiożercze zaatakowanie bezbronnych ludzi, żyjących pośród nich, jest powrotem do tych wspaniałych tradycyj, któremi von Pappen się szczyci? Jeśli zaś nie, to może jakiś chrześcijański apologeta wskaże nam stulecie, w którem chrześcijanie nie znali ani nie zalecali morderstw, tortur, nienawiści i tyranji.

Rozrzutność bałwochwalców

Katedra w Liverpoolu będzie posiadała „posąg Chrystusa ze złota i srebra wysokości $8^1/_2$ stóp“. Wiele osób będzie się kiedyś dziwiło, że w tak ciężkich czasach jak nasze podobne marnotrawstwo było możliwe. Co do nas uważamy ten posąg za bardzo odpowiednią „ozdobę“ dla tego budynku. Chrystus miał powiedzieć, że nie posiada złota ani srebra, ale kościół katolicki nigdy nie znajdzie się w tem położeniu, póki ludzie będą mu dawali pieniądze na podobne cele.

Bezsilność kościoła wobec świadomego macierzyństwa

Katolicy irlandzcy są mocno niezadowoleni z opieszałości cenzorów, szczególniej, gdy chodzi o zwalczanie propagandy na rzecz regulacji urodzeń. P. Frank O'Reilly w swoim liście do prasy oburza się na cenzorów i podaje różne sposoby rozprawienia się z „niestosownemi i prowokującemi“ książkami. Sądzimy, że najlepiej będzie pójść za przykładem hitlerowców. Czemużby nie objechać z samochodami ciężarowemi wszystkich publicznych i prywatnych bibljotek, nie zabrać wszystkich książek i pism, które wspominają o płci w jakikolwiek sposób, lub też napomykają o tem, że religja rzymsko-katolicka może się w czemś mylić — i nie spalić całej owej kolekcji? Jeśli zaś byłoby wskazanem przybliżyć się jeszcze

bardziej do średniowiecza, czyż nie możnaby oddać płomieniom również garści zwolenników regulacji urodzeń, wolnomyślicieli i komunistów? Należałoby być przynajmniej logicznym.

Kler na wojnę pieniędzy nie daje: on jej tylko błogosławi

Kto daje pieniądze na wojnę? zapytuje jedno z pism codziennych. Trzeba oddawać sprawiedliwość swoim nieprzyjaciołom, śpieszymy więc zapewnić, że kościół nie jest winowajcą. Zadawala się on jedynie wynajdywaniem moralnych pretekstów do prowadzenia wojen, błaganiem boga o wygrywanie bitew i odniesienie ostatecznego zwycięstwa, zagrzewaniem żołnierzy do boju, błogosławieniem sztandarów i okrętów wojennych, udzielaniem sakramentów walczącym i pocieszaniem osieroconych wdów i dzieci.

„Wierzę — bo to niedorzeczne“

Jak orzeźwiającą rzeczą jest spotkać chrześcijanina, który wierzy we wszystko, co stoi w Nowym Testamencie, zamiast próbować wytłomaczyć cuda i inne niedorzeczności zapomocą traktowania ich jako symboli lub alegoryj. W jednem z pism religijnych mamy artykuł wstępny, którego autor wierzy niezłomnie, że Jezus poleciał prosto do boga po zmartwychwstaniu. „Bez wniebowstąpienia — powiada nam — nie moglibyśmy zrozumieć historycznej roli naszego Pana, a przyszłość człowieka zostałaby odarta ze wszelkiej nadziei“. To powinno zamknąć usta tym gadatliwym chrześcijanom, którzy twierdzą dzisiaj, że zmartwychwstanie należy rozumieć tylko w „duchowem“ znaczeniu. Jeśli więc Jezus żył, musiał się wznieść w górę dokładnie jak to opisuje „Pismo Święte“, gdyż wszystko jest możliwe dla boga wszechmogącego. Pozostaje jedynie zagadnienie, czy Jezus żył istotnie.

Niema bogoróbców bez głupców

Biskup Esceter występuje przeciw regulacji urodzeń i wskazuje, że sam ma dziewięcioro dzieci. Gdy się ma dobrą posadę i pokaźne wynagrodzenie łatwo jest mówić o dobrych stronach licznej rodziny. Chcielibyśmy wiedzieć, co uczyniłby szanowny biskup, gdyby był bezrobotnym, żyjącym w jednym pokoju z dziewięciorgiem dzieci. Czy żona jego witałaby z radością narodziny każdego dziecka? Jak przyodziałby i wyżywił swoje dzieci z zasiłku dla bezrobotnych? Biskup zapytuje, co poczną murarze, gdy przestanie się wznosić domy z powodu zmniejszenia się ludności i kogo będą uczyć nauczyciele, gdy zabraknie dzieci. Do tych pytań można tylko dodać jedno: „Jak mogliby żyć biskupi, gdyby nie było zachęty do płodzenia głupców?“

Myśl Wolna — to myśl wolna od przesądów

Zasadniczy cel wolnej myśli jest i powinien być czemś szerszem, niż samo zniszczenie przesądow i nałogów religijnych. Odrzuceniu religji niezawsze towarzyszy wyzwolenie intelektu; w wielu wypadkach następuje przyjęcie jakiegoś innego—politycznego lub etycznego — przesądu. Wyzwolenie powinno oznaczać coś więcej, n'ż przeniesienie przesądnych nastrojów z jednej dziedziny życia do drugiej i mało byłoby warte, gdyby nietolerancja, będaca tak wybitnym rysem historji religijnej, miała działać w dalszym ciągu w imię etyki lub socjologji. Podstawą wolnej myśli jest intelektualna swoboda jednostki. Wolnomyśliciele bronili zawsze swobody myśli, słowa i prasy a zamach na tę swobodę czy to ze strony kościoła, czy też państwa jest jednakowo niebezpieczny. Argument siły nigdy nie powinien być używany jako odpowiedź na siłę argumentu. Dopóki polityka jest walką współzawodniczących ze sobą oportunistów, dopóki ustalone w jakiejkolwiek dziedzinie twierdzenia chcą uwiecznić swoją egzystencję bez względu na prawdę, dopóty potrzebni będą ludzie, których celem jest objektywna prawda i równa sprawiedliwość dla wszystkich.

Kronika

MIĘDZYNARODÓWKA PRZECIWNIKÓW WOJNY

organizuje w roku bieżącym:

I. Konferencję w Paryżu od 3-5 sierpnia 1933 r., na którą zaprasza delegatów wszystkich organizacyj młodzieży, które przyjmują zasadę bezgwałtu. Celem jej jest utworzenie jednolitego frontu organizacyj, stojących na tej platformie. Informacji udziela Franz Rona, Wien VII, Döblergasse 2|26, Austrja.

II. Dwa międzynarodowe obozy młodzieży, które będą przyjmowały młodych ludzi ze wszystkich krajów i dostarczą zarówno strawy duchowej w postaci odczytów i dyskusyj na tematy pacyfistyczne, jak i sposobności do nawiązania osobistych kontaktów i miłego przepędzenia wakacyj. Będą one założone:

1) w Vallee de Chevreux, blisko Paryża, 5-12 sierpnia przy pomocy Le Trait d'Union — koszt ogółem 100 franków.

2) w Brünn, Czechosłowacja, 15—22 sierpnia, przy pomocy pacyfistycznej organizacji młodzieży w Brünn. Specjalne omawianie środkowo-europejskich zagadnień.

Informacyj dotyczących (I) można się dowiedzieć pod adresem:

Austrja — Franz Roma, Wien VII, Döblergasse 2/26,

Francja — Robert Benardeau, Paris 15-e, 127 rue du Cherche-Midi,

Anglja —Harold F. Bing, 90, Westbourne Ave, Hull/Yorkshire.

Zapytania dotyczące (2) należy kierować pod adresem:

Czechosłowacja, p. Bauer, Brünn, Glacis 39.

O NOWĄ RELIGJĘ

„Postępowy“ chrześcijanin a zarazem bogaty przemysłowiec amerykański, D w i g h t H. T e r r y z Blymouth przeznaczył 100.000 dolarów na utworzenie fundacji, mającej na celu wydawanie książek i wygłaszanie odczytów („Terry lectures“) na tematy „Religja w świetle nauki i filozofji“. D. H. Terry uważa, że w ten sposob oczyści się dzisiejszą religję z głupstw, przesądów, tradycyj, symbolów, dogmatów, magji, obrzędów itp. i że tak „oczyszczona religja“ będzie mogła być przyjęta bez zastrzeżeń przez świat dzisiejszy.

Fundator jest przekonany, że tą nową religją, mogącą uszczęśliwić całą ludzkość, może być tylko filozofja, wyprowadzona z przesłanek naukowych i przeniknięta „duchem chrześcijańskim“. Co to jest nauka i co to jest filozofja — wiemy, ale „duch chrześcijański“ jest dotąd pojęciem jeszcze bardzo mało sprecyzowanem. O herezję więc w tej nowej religji będzie tak samo łatwo, jak i w każdej innej. Lecz to nic nie szkodzi, byleby tylko nie chciano jej tępić przy pomocy nowej inkwizycji. Narazie u podstaw Terriowskiej fundacji leży całkowita wolność przekonań i słowa, czyli stuprocentowa tolerancja. Ale to może się zmienić, gdy „nowa religja“ stanie się wykończonym całkowicie systematem i podana wiernym do wierzenia.

Fundacja Terriowska jest, jak widzimy, niczem innem, tylko pewnym kierunkiem wolnomyślicielskim, zwężonym do jednego tylko zagadnienia. Czy ten kierunek doprowadzi do stworzenia „nowej religji“, jest rzeczą więcej, niż wątpliwą, b o p r z y s z ł o ś ć m o ż e b y ć t y l k o b e z r e l i g i j n a. Religję w dzisiejszej postaci zastąpi niewątpliwie filozofja przesiąknięta tolerancją i humanitaryzmem, przyczem ta nowa „filozofja tłumu“ będzie zapewne również bardzo mało filozoficzna. Oparta jednak będzie choćby na elementarnych wiadomościach naukowych, które dać powinna wszystkim szkoła powszechna odpowiednio postawiona, lub oświata pozaszkolna o jednolitym kierunku. W każdym razie nie będzie to już „wiedza objawiona“ i nie będą to już katolickie i chrześcijańskie dogmaty, od których odstępstwo mogłoby być karane stosem i torturą. Zresztą i dzisiejsze odstępstwa (apostazje) od chrześcijańskich dogmatów już tej karze nie ulegają i nawrót do „miłcsierdzia“ papieskiej inkwizycji jest rzeczą poprostu nie do pomyślenia zarówno dziś, jak i w wiekach następnych.

NOWE KOŁO P. Z. M. W.

powstało w Bogumiłowicach k. Radomska. Przewodniczącym został wybrany ob. Cz. Domagała, zastępcą M. Kusiak, sekretarzem R. Domagalski, skarbnikiem J. Wieczorek.

NOWA PLACÓWKA

Zgodnie z nowoczesnemi zasadami pedagogiki, uznającemi ogromne znaczenie pierwszych lat wychowania Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci zamierza otworzyć przedszkole dla dzieci w wieku od lat 4 do 6.

Będzie to nowa placówka, na której Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci będzie realizowało swe hasła wychowania socjalistycznego, uwzględniając indywidualność dziecka, i przygotowując je do życia w gromadzie przez rozwijanie zdolności do współdziałania, poczucia łączności i solidarności, szacunku dla pracy zarówno umysłowej, jak fizycznej.

Przedszkole będzie otwarte przy ul. 3-go Maja 2 (Domy Spółdzielcze).

Osoby zainteresowane zechcą zgłaszać się o bliższe informacje do Oddziału Warszawskiego Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół dzieci, Aleja 3-Maja 2 m. 68. tel. 332-88 w godzinach biurowych.

Z prasy

TALMUDYZM FRANCISZKAŃSKI

Jeden z czytelników *„Rycerza niepokalanej“* (Nr. 5) ma pretensję do redakcji tego anielskiego organu, iż nie ogłosiła jego „ślubowanego podziękowania z przyłożoną pieczątką kanonika“. Pretensję, jak widzimy, zupełnie słuszną. Ten poczciwiec, ogłupiony przez niepokalanowski organ matki boskiej, sądzi, że niepokalana to tylko wie o świecie, co przeczyta w własnym „Rycerzu“. Uczuł się więc wyraźnie dotknięty i pokrzywdzony, bo to i pieniądze posłał, i z przyrzeczenia ślubowanego się wywiązał i nawet pieczątkę kanonika trudził, a tu nic: redakcja dziękczynnego listu nie wydrukowała i matuchna, rzecz jasna, o wdzięczności niepokalanego poczciwca nic dotąd nie wie. Stąd wyrzuty sumienia i słuszna troska o duszę, skalanej grzechem niewdzięczności i obawa na przyszłość, co to będzie, gdy znów człowiek znajdzie się w jakich życiowych tarapatach? Ale to wszystko jeszcze nic! Najważniejsza rzecz, to owa pieczątka kanonika. Jakto? S a m k a n o n i k pieczątkę przyłożył. To mu się już w głowie pomieścić nie mogło. Niewytrzymał i napisał do „Rycerza”.

Otrzymawszy ten „gryps“—redakcja w taki sposób uspakaja nieboraka:

„Nie sposób nam dawać w „Rycerzu“ wszystkich podziękowań, jakie Czytelnicy składają Najświętszej Matuchnie. Jednak do spełnienia uczynionego Matce Najśw. przyrzeczenia, w zupełności wystarczy, jeśli podziękowanie zostanie wysłane do redakcji. I czy podziękowanie zostanie umieszczone, czy nie, dziękujący grzechu żadnego niema, bo obietnicę spełnił“.

Oto co się nazywa pokonywać trudności religijne i rozwiewać skrupuły moralne. Rozgrzeszenie dane i spokój sumienia zapewniony.

Szkoda, że franciszkański niepokalany „Rycerz“ napisał to w 7 lat po ogłoszeniu w Dzienniku Ustaw konkordatu, który jak każda ustawa zaczął obowiązywać dopiero po ogłoszeniu go w tym Dzienniku, mimo że Dziennik Ustaw nie ukazuje się codziennie.

Jak się okazuje—rządowi polskiemu wystarczyłoby, do spełnienia konstytucyjnego ślubu gdyby był zawarł konkordat z Watykanem i posłał go do redakcji Dziennika Ustaw, a ten go nie ogłosił. Ślub konstytucyjny, uczyniony przez „naród“ w art. 114 konstytucji, byłby spełniony, konkordatu by nie było. A co najważniejsze, nie byłoby również i grzechu.

Ano, mądry Polak po szkodzie.

DO OB. A. DZ. W ŁOMŻY

Przyjacielu! Na osłodę przymusowych formalności ślubnych, jako prezent ofiarowuję Ci roczną prenumeratę „Wolnomyśliciela Polskiego“.

Ro.

WYSTĘPUJCIE Z KOŚCIOŁÓW I GMIN WYZNANIOWYCH!

TREŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU:

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

rocznie	zł. 20.00	miesięcznie zł. 1.75
półrocznie	„ 10.00	zagranicą 3 i pół dol. rocznie
kwartalnie	„ 5.00	numer pojedyńczy 60 gr.

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, telef. 718-14. Konto czek. P. K. O. 14.200.

Redaktorka **Marja Jankowska**—Wyd.: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu“.**

Druk. F. Kierski, Warszawa, Żelazna 28, tel. 286-54.